



TILL THE LAST BREATH

KAROLINA ZIELIŃSKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Dominika Bronk Polonistyczna Kruczata

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/tithel>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-1674-6

Copyright © Helion S.A. 2025

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

WSTĘP

Thoren

Zamknij oczy. Zamknij oczy i wyobraź sobie, że twoja rodzina została zabita.

Twoja matka, twój ojciec, twoje siostry. Wszyscy. Bez żadnego powodu. Związani, a następnie zamordowani. Widziałeś, jak noże przebijają skórę, jak wchodzi coraz głębiej i głębiej. Stałeś tam. Obserwowałeś.

I nie mogłeś im pomóc. Mogłeś tylko patrzeć.

Zadaj sobie pytanie: jak byś wtedy zareagował?

Jak byś się z tym czuł?

Co TERAZ zrobisz?



ROZDZIAŁ pierwszy

Lucille

Cisza. Otacza mnie błoga cisza, która nastąpiła po moim wcześniejszym krzyku. Ciało unosi się swobodnie, a płuca kurczą z braku powietrza. Uspokajam dudniące w piersi serce. Wydaje mi się, że widzę nikielne przebliski światła. Nie chcę tam wracać. Staram się jak najdłużej wytrzymać pod wodą, ale jestem zbyt słaba. Mój organizm nie jest przyzwyczajony do długich minut bezdechu. Ogarnia mnie przerażenie, kiedy pojawia się widzenie tunelowe. Zaczynam gwałtownie machać rękoma, rozpryskując wodę ze starej wanny po mikroskopijnej łazience. Unoszę tułów, ból szarpie moją klatkę piersiową, przypominając mi o napełnieniu płuc tlenem. Każdy oddech jest powolny, trudny i niezwykle męczący. Wychylam się przez krawędź wanny. Mokre, jasnobrązowe włosy opadają mi na połowę twarzy. To nie pierwszy raz, gdy balansuję na granicy utraty przytomności. Robię to od tygodni, bo tylko w ten sposób umiem panować nad nerwami. Bycie pod powierzchnią daje mi spokój. Napięte mięśnie drżą, gdy resztkami siły wydostaję się z wanny. Sięgam po ręcznik i szczerze owijam nim rozdygotane ciało. Podchodzę do umywalki, w odbiciu lustra przyglądam się swoim ciemnofioletowym sińcom pod oczami. Efekt bezsennej nocy.

– Długo jeszcze? – Zniecierpliwiony głos matki przedziera się przez drzwi. Zaciskam zęby z żalu, że się przebudziła. Nie chcę się z nią widzieć, nie po tym, jak kolejny raz mnie rozczarowała.

– Już wychodzę – odpowiadam, ignorując znajome pieczenie pod powiekami.

– To dobrze. Słuchaj... – urywa, bierze wdech i kontynuuje: – Trzeba będzie zrobić zakupy. Nie ma chleba.

Trochę się rozpromieniam. Słowa matki dają mi nadzieję, że wreszcie odzyskała pożyczone pieniądze z renty po tacie i będę mogła kupić jedzenie.

– Wszystko oddali? – upewniam się.

– Kto?

– No, te półgłówki.

– Nie nazywaj ich tak.

Uśmiecham się ironicznie do siebie. Matka zawsze broniła tych ludzi. Szczerze mówiąc, nawet do końca nie wiem, kim oni są. Każą nazywać się wspólnotą i dzielić wszystkim, co uznają za wartościowe. W ten sposób pozbyliśmy się z domu telewizora oraz oszczędności. Obiecali nam wyrównanie strat, lecz od kilku długich dni temat pozostaje zamknięty. Mama złości się, ilekroć krytykuję wspólnotę, uważa, że tylko oni są w stanie nam pomóc. Że jako jedyni rozumieją naszą sytuację. Być może to prawda, ale dlaczego pozbawiają nas pieniędzy? Na to pytanie nie potrafiła odpowiedzieć.

– Oddali czy nie? – dopytuję, marszcząc gniewnie brwi.

– Nie.

Wbijam paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni.

– To jak mam zapłacić za chleb?

– Zrób to co zwykle.

To co zwykle oznaczało kradzież. Tak, kradnę żywność ze sklepu, byśmy mogły przeżyć. Odkąd mama zaczęła regularnie uczęszczać na spotkania wspólnoty, nasza lodówka ziele koszmarną pustką. Próbowalam zaciskać pasa i jeść po dwa posiłki dziennie, lecz to nie wystarczało. Musiałam zacząć kraść. Za każdym razem, gdy idę do sklepu, obiecuję sobie, że to się więcej nie powtórzy. Cóż, jestem mistrzem w zagłuszaniu własnego sumienia. Wycieram się do sucha i wkładam bluzę z polaru. To moje najcieplejsze ubranie, które mimo kilku przetarć wciąż rewelacyjnie daje sobie radę z chłodem. Odwlekam moment, w którym otworzę drzwi i stanę z nią oko w oko. Zmieniła się tak bardzo, jak tylko może się zmienić kobieta po śmierci męża. Pierwsze tygodnie były udręką, ale to miesiące wypełnione smrodem alkoholu dały nam najbardziej w kość. Gdy tata żył, nie pijała zbyt często. Prawie w ogóle.

Z kolei teraz traktuje piwo jak wodę. Depresja. Wiem, że w nią wpadła. Potrzebuje mojej pomocy, lecz brakuje mi sił na mierzenie się z podłą rzeczywistością. Czuję się jak pionek podczas gry w chińczyka. Jestem nieustannie gdzieś przestawiana. Nie jest łatwo nadążyć za humorami matki. Ta ciągle niewiadoma stała się jeszcze bardziej podchwytliwa, gdy mama zaczęła się spotykać ze wspólnotą. Mówiła, że dzięki nim przestała egzystować i znów w pełni cieszy się życiem, co jest czystą hipokryzją. Jak można się cieszyć z życia, kiedy jest się zmuszanym do kradzieży? Och, zaraz. To nie ona to robi. Być może dzięki temu widzi to inaczej. Lepiej.

– Wyłaź stamtąd, bo inaczej zesram się na podłogę.

Nie powinnam się śmiać, ale na litość boską, nasza podłoga jest w tak opłakanym stanie, że fekalia nie zrobiłyby większej różnicy.

Szoruję zęby, wklepuję w twarz krem i maluję usta czarną pomadką. Zresztą cienie do powiek są również w tym kolorze. Nie chcę być widoczna. Najchętniej zlałabym się z tłem albo wpadła w jakąś otchłań. Zakładam kaptur na głowę i wzdychając głęboko, wychodzę z łazienki. Matka mierzy mnie wzrokiem, ale nie wygłasza ani jednego komentarza. To dobrze. Gdyby się przyczepiła, ja zaczęłabym się bronić. A wówczas wybuchłaby wojna, na którą żadna z nas nie jest przygotowana.

Huk zatrzaskiwanych drzwi odbija się echem w mojej głowie. Nie lubię, kiedy trzaska drzwiami. Wiele razy prosiłam, by tego nie robiła. Idę do kuchni. To kolejne małe pomieszczenie w naszym mieszkaniu. Oprócz blatu, starej lodówki i zardzewiałego pieca nie ma tutaj nic. Nawet stołu, przy którym mogłybyśmy zjeść posiłek. Sprzedałam go razem ze ślubną zastawą rodziców, żeby móc spłacić długi matki w pieprzonym kasynie. Opieram się plecami o ścianę, przez którą przebija wilgoć. Zostałam sama. Całe gospodarstwo domowe spadło na moje barki i choć każdego dnia krzyczę, że mam dość i nigdy więcej nie będzie mogła na mnie liczyć, to... nadal tu jestem.

Wpatruję się w otwarty chlebak. Jest pusty. Gdy byłam małą dziewczynką, nauczycielki w szkole pytały, kim chciałabym zostać, kiedy dorosnę. Wtedy nie znałam odpowiedzi. Dziś natomiast powiedziałabym, że chciałabym być wróżką, by móc wyczarowywać jedzenie. Różne i w dowolnych ilościach. Boli mnie żołądek, kiedy w pamięci analizuję sklepy, które są o tej porze otwarte. Nie ma ich dużo, więc ryzyko

wpadnięcia wzrasta. Jednak czy w areszcie byłoby gorzej niż w domu? Szczerzę wątpię.

Rozluźniam zaciśniętą pięść. Podświadomie zwinęłam dłoń, jakbym szykowała się do ataku. Nigdy nie musiałam się bić, ale warto być przygotowaną na każdą ewentualność. Uspokajam pędzący oddech. Słyszę, jak matka energicznie splukuje wodę w toalecie. Znam jej rytuały na pamięć. Gdy wyjdzie z łazienki, sięgnie po paczkę papierosów. Wypali dwa, a następnie usiądzie na podłodze i zacznie wpatrywać się w jeden, odległy punkt na ścianie. Wspólnota kazała jej medytować, by odnaleźć wewnętrzną radość; chociaż mruczenie pod nosem i gapienie się wcale nie przypominają medytacji, ona twierdzi inaczej. Muszę powstrzymywać irytację. Nadal boli mnie policzek po tym, jak powiedziałam jej, że jest naiwną idiotką. Tak, matka potrafi uderzyć. Nie zawsze, jednak kilka razy poznałam jej gniew na własnej skórze. Najgorzej jest, kiedy zabraknie jej tabletek, które Tony regularnie dostarcza. Wtedy z drobnego kobiecego ciała wyłania się prawdziwa bestia. Nigdy nie pytałam, skąd zna wspólnotę ani kim jest dla niej ten cały Tony. Podejrzewam, że łącząca ich relacja jest czysto patologiczna, i nie sądzę, bym się myliła. Gdyby tata to widział... Brakuje mi go. Gdy żył, wszystko miało większy sens. Odgłos człapania staje się coraz wyraźniejszy, matka zmierza do kuchni. Najpewniej po to, by zapytać mnie, gdzie podziała swoje papierosy.

– Widziałas gdzieś moje fajki? – rzuca od progu.

– Nie – kłamię.

Paczka leży na parapecie pod stertą starych gazet. Kupujemy je dla obopólnej korzyści. Matka udaje, że czyta reportaże, a ja rozwiązuję krzyżówki. Kiedyś wycinałam je, pakowałam w kopertę i wysyłałam aż do Anchorage z myślą, że uda mi się wygrać główną nagrodę. Oferowali wówczas kilka tysięcy dolarów, co przy naszej sytuacji byłoby porządnym zastrzykiem gotówki. Wydawało mi się, że nie jestem naiwna, ale wtedy zaczęłam myśleć, jak bardzo taka kasa odmieniłaby nasze życie, i gdy okazało się, że nie zdobyłam żadnego miejsca, poczułam się niezwykle rozczarowana. Kolejna nauczka na przyszłość – nie robić planów. Gdybanie daje złudną nadzieję, zostawia ze złamanym sercem. I pustym portfelem. Portfel... Och, właśnie. Głód zaczyna dawać o sobie znać. Ścisła, męczy. Nie chcę kraść, ale nie mam innego wyjścia. Muszę to zrobić.

– Oni mają wszystkiego za dużo – stwierdza matka. Nie mam pojęcia, o kim mówi, więc proszę, by wyjaśniła.

– Co im szkodzi rozdać parę rzeczy ludziom? Dawniej w sklepach była tylko ryba, a teraz półki uginają się od towarów. To nie są już ci sami ludzie. Każdy został zjedzony przez konsumpcjonizm. Jeszcze kilka lat temu Brad jeździł pieprzonym zaprzęgiem do roboty, a teraz? Widziałas tę jego nową furę? Stać go. Gdyby tylko nie był tak egoistyczną świnią, dałby nam jedzenie za darmo.

– Jeśli zaczniesz rozdawać, to nie zarobi.

– W życiu liczy się coś więcej niż pieniądze! – Złości się. – Dobre uczynki! Pomoc bliźniemu! Nie bądź taką materialistką.

– Sklep upadnie, jeśli nie będzie przynosił dochodu.

– Od razu nie upadnie.

– Mamo, zejdź na ziemię – cedzę przez zęby. – Czego ty oczekujesz? Że ktoś da ci coś za darmo? Bo co?

– Bo jestem człowiekiem.

Patrzę na nią. Najpierw w osłupieniu, a potem wybucham śmiechem. To naprawdę mógłby być dobry dowcip, gdyby nie to, że ona wcale nie żartowała. Wsuwam dłoń w kieszenie bluzy.

– Ta wspólnota już całkiem wyprała ci mózg, co?

– Znowu zaczynasz? Może w końcu zajęłabyś się zakupami?

– Zakupami? Raczej kradzieżą.

– Nazywaj to, jak chcesz.

Nie mam ochoty się z nią sprzeczać. Bez słowa wychodzę z kuchni. Ze swojego pokoju zabieram plecak i wkładam wysłużone buty za kostkę. Kiedy cztery lata temu je kupowałam, materiał był ciepły i miękki. Obecnie nie trzymają temperatury i wcale nie są miękkie, dlatego muszę zakładać dwie pary skarpet. Sznuruję mocno buty i zarzucam na plecy kurtkę. Podobnie znoszoną. Gdy wychodzę na naszą klatkę schodową, uderza mnie zapach smażonego mięsa. Moje ślinianki dostają szału, a żołądek domaga się jedzenia poprzez głośne burczenie. Przez chwilę zastanawiam się, czy mogłabym zapukać do sąsiadów i...

I co? Zjesz z nimi posiłek? A co z matką?

Potrząsam głową, rezygnując z durnego planu. Ostrożnie schodzę po schodach. Mieszkamy na trzecim piętrze, a podczas ulew przez nieszczelne okna wlewa się woda, która później zamarza. Czasami zejście na dół

w jednym kawałku jest sporym wyczynem. Gdy już wychodzę na dwór, napęnlam płuca zimnym, rześkim powietrzem. Ostry, północny wiatr porusza moimi włosami. Sklep Brada znajduje się kilka metrów dalej, ale nie mam ochoty tam iść. Szczerze mówiąc, nadal nie zdecydowałam, który dyskонт okraść. Podeszwy moich butów trzeszczą na zmrożonym śniegu. Czasu coraz mniej. Głód przyszpila mnie do ziemi. Niech to szlag. Dlaczego muszę stawać przed takim wyborem? Wcale nie jest mi z tym dobrze. I raczej nigdy nie będzie.

Dreptam w kółko, przyglądam się swoim śladom na śniegu i biorąc głęboki wdech, decyduję się na niewielki sklep spożywczy. Mijając go, widzę ogromną witrynę, w której ustawiono wiklinowe kosze z owocami. Robią na mnie wrażenie, bo nie każdy w Skagway decyduje się na kupno importowanych towarów. Właściwie to prawie nikt. Mając za plecami budynek z ciemnego drewna, obwieszony białymi lampkami, wspominam słowa matki: „Oni mają wszystkiego za dużo”. Trudno się zgodzić. Szczególnie w tej chwili, gdy walczę z głodem, a właściciel sklepu sprowadza czerwone jabłka, banany i pomarańcze na Alaskę.

Biorę się w garść. Odwracam się i wchodzę do środka. Wita mnie przemiła kobieta w brązowej kurtce. Z uśmiechem na ustach pyta, jak mija mi dzień i na co mam ochotę. To nie ułatwia sprawy. Krążę od regału z pieczywem do długiej lady z nabiałem, a bystre oczy sprzedawczyni wywiercają dziurę w moich plecach. Czy ona wie, co zamierzam zrobić? A jeśli ma przy sobie broń? W Skagway niemal każdy nosi przy sobie wiatrówkę. Głównie po to, żeby się bronić przed niedźwiedziami, ale przecież atak złodzieja jest równie niebezpieczny, prawda?

Uspokój się.

Wkurzam się, że zachowuję się jak nowicjuszka. Powinna już dawno pryskać z łupem. Wyjmuję dłonie z kieszeni kurtki. Są mokre od potu.

– Pomóc w czymś? – Sprzedawczyni kolejny raz zadaje pytanie. Jak mogę z tego wybrnąć? Mój umysł pracuje na najwyższych obrotach. – Widzę, że się rozglądasz. Czego szukasz?

– Sera.

O Boże, naprawdę to powiedziałam? Ze wszystkich możliwych produktów, których mogłabym szukać w sklepie, wybrałam cholerny ser?

– Spójrz tutaj. – Kobieta wskazuje na ladę. – Mamy wiele rodzajów.

– Właściwie to... kilka dni temu złożyłam zamówienie u właściciela sklepu na holendra. To znaczy ser holenderski – wypalam bez namysłu. To głupie, jestem przekonana, że zaraz zostanę wyśmiana, ale o dziwo, w zamian otrzymuję uśmiech, a kobieta oznajmia, że zerknie na zaplecze. Wyczekuję odpowiedniego momentu, czekam, aż zniknie z pola widzenia, a następnie podchodzę do regału z pieczywem i wypycham nim kieszonkę kurtki. Serce bije mi tak głośno, że na pewno słyszał je na zewnątrz. Nagle przypominam sobie o plecaku. Wciskam w niego puszki z zupą i konserwy rybne. Kompletnie zapominam o owocach. Zapinam plecak, zarzucam go na plecy i wychodzę ze sklepu, zanim ta przemiła kobieta wróci z zaplecza. Moje zachowanie jest podłe i żałuję każdej sekundy, lecz nie mogę zmienić swojej sytuacji. Wybiegam wprost na chodnik pokryty cienką warstwą lodu. Prawie upadam. Przestraszona wymachuję rękoma, by złapać równowagę. Ciężki plecak ciągnie mnie w dół, lecz się nie poddaje. Zaciskając zęby, łapię podeszwę butów kawałek zasypanego śniegiem chodnika, a następnie koślawo przechodzę na drugą stronę.

– Złodziejka! Złodziejka! – Głośny krzyk rozlega się gdzieś za moimi plecami. Strach ściska krtani. Nie mogę oddychać.

– To złodziejka! Okradła sklep!

Muszę uciekać. Spanikowana rozglądam się dookoła i ściskając dłonie w pięści, zaczynam biec. Płuca palą jak diabli, a mięśnie nóg boleśnie dają znać, że nie powinnam olewać treningów. Ćwiczę razem z Keri, nie korzystamy z siłowni, nasze ćwiczenia polegają głównie na rozciąganiu się i robieniu kilkunastu przysiadów. Zwykle robimy to na dworze, ale od kiedy temperatury zaczęły schodzić poniżej dziesięciu na minusie, wołałam owinąć się w koc i rozwiązywać krzyżówki. Teraz mam nauczkę. Dawniej byłam szybsza. Wkurzam się, gdy pot zalewa mi oczy. Dlaczego nie mogę się zmusić do większego wysiłku? Niespodziewanie z naprzeciwka wybiega wysoki chłopak. Widzę go pierwszy raz w życiu, ale jego zacięta mina sugeruje, że zmierza prosto na mnie. Chcę go wyminąć, lecz chwytam mnie za ramię i popycha w kierunku niewielkiej zasy. Łąduję twarzą w śniegu, a on szarpie za plecak.

– Zostaw! – warczę. – Puszczaj mnie!

– Zamknij mordę, złodziejska szmato! – odpowiada groźnie i szarpiąc za włosy, zmusza, bym odwróciła twarz i na niego spojrzała. Jest młody, być może nawet młodszy ode mnie. W granatowej kurtce i szarej czapce

wygląda przeciętnie. Głęboko osadzone oczy ciskają gromy, jasne brwi łączą się w długą linię, a chude palce łapią mnie za gardło i powoli odcinają dopływ tlenu. Wierzgam nogami. W przypływie desperacji nabieram śniegu w dłonie i rzucam nim w agresora. To skutkuje, ale tylko na chwilę. Z przerażeniem podnoszę się z ziemi, chcę uciec, lecz chłopak znów mnie atakuje. Tym razem wymierza mi cios w policzek. Od uderzenia w twarz brzęczy mi w uszach, ból zlewa się z lękiem.

– Okradłaś moją mamę – syczy rozzłoszczony, wpychając łapy w kieszenie mojej kurtki. Wyrzuca z nich bułki, a kiedy próbuję jedną podnieść, drugi raz uderza mnie w twarz. – Jak ci nie wstyd, suko?!

– Odwal się.

– Jesteś pieprzoną złodziejką. – Szarpiąc mnie za ramię, przechwytuje plecak. Rozpina zamek i wyrzuca wszystko, co zdołałam w nim pomieścić.

– To są moje zakupy! – krzyczę, gotując się ze złości. – Odczep się ode mnie!

– Widziałem cię. W sklepie są kamery, a ja byłem na zapleczu. Gdy wyszłaś ze sklepu, zrobiłem to samo.

– Nieprawda!

– Jesteś gównem – stwierdza z obrzydzeniem, a potem na jego ustach pojawia się niepokojący uśmiech. – Wiesz, co się robi z gównem?

Zostawia w spokoju? Tylko tego pragnę. Niech już sobie idzie. Mogę głodować, moja matka też, ale proszę, niech już więcej mnie nie bije. Chcę się uspokoić i zapanować nad strachem, więc liczę w pamięci od zera do dziesięciu. Gdy jestem przy szóstce, chłopak wykonuje półobrót i kopie mnie w brzuch. Zaślepiona ciosem i obezwładniona potężnymi mdłościami znów wpadam w śnieg. Tym razem jednak zwijam się w kulkę i drżąc, wypływam gęstą, gorzką ślinę.

Och, jak boli.

– Gówna trzeba rozdeptywać – mówi, nadeptując mi na palce u dłoni. Wydieram się. Uczucie niczym prąd przebiega wzdłuż mojego kręgosłupa. W końcu jednak odsuwa but, a ja płacząc, uświadamiam sobie, że nie mogę ruszać palcami. Unoszę głowę z nadzieją, że na chodniku będzie ktoś jeszcze. Ktoś, kto był świadkiem całej tej sceny i zechce mi pomóc, ale nie ma nikogo. Jest pusto. Chłopak zabiera mój plecak, ale zanim odchodzi, spluwa na mnie.

Czuję się jak śmieć.

Tatusiu, tęsknię za tobą.

W ciągu kilku sekund zrzucam z siebie maskę. Przestaję udawać, że daję sobie radę z każdym problemem. Ból w palcach jest nie do zniesienia. A co, jeśli są złamane? Nie przejmuję się krwią, która spływa powoli z mojego nosa. Wtulona w śnieg patrzę, jak ten barwi się na czerwono. Nie mam sił, by się podnieść. Zamykam powieki z myślą, że jeśli zamarznę, to nigdy więcej nie będę musiała kraść. I to jest dobre. Uspokajam się, wyrównuję oddech. W ostatnich przebiegach świadomości przypominam sobie słowa Hagrida z *Harry'ego Pottera*.

Co ma być, to będzie, a jak już będzie, to trzeba się z tym zmierzyć.

A potem wita mnie ciemność.

Ból spowija mnie niczym koc. Dryfuję pośród mroku wypełnionego krzykiem. Moje ciało jest spięte, a powieki zbyt ciężkie, aby je otworzyć. Chłód wdziera się w kości i kiedy podświadomie szykuję się na ostateczność, czuję dotyk szorstkiego materiału na swoich zmarzniętych barkach. Przez chwilę wydaje mi się, że jestem w domu i tata nakrywa mnie kocem. Zawsze to robił, gdy zasypiałam w pokoju przed włączonym telewizorem. Och, telewizor. Jak wspaniale byłoby znów coś obejrzeć. Nawet reklamy.

Tato, zabierz mnie do siebie.

Niespodziewanie moja skóra zaczyna płonąć. Ogień pożera mnie kawałek po kawałku. Boję się, ale wciąż nie mam wystarczająco sił, by otworzyć oczy. Muszę się pogodzić z niewiadomą.

– To nie twój czas, dziecko. – Ochrypli szept rozlega się w mojej głowie. Czyje to są słowa? Gdzie się znajduję? Czy to już niebo? A może trafiłam do piekielnej otchłani? Czy ktoś taki jak ja może liczyć na wybawienie?

– Napij się. – Znów ten szept. Do kogo należy? Na moje usta spada kropla czegoś ciepłego i słonego. – Jeszcze troszkę.

Na języku wyczuwam smak gotowanych warzyw i bulionu. Mimo straszego bólu uchylam powieki i widzę przed sobą zmartwioną, pomarszczoną twarz staruszka w starym, podziurawionym swetrze. Jego bystre, błękitne oczy wpatrują się wprost we mnie. Na owalnej twarzy poza zmarszczkami są też głębokie blizny. Marszczę brwi. Gdzieś już

widziałam takie ślady. Szybko przypominam sobie wykrzywioną grymasem twarz świętej pamięci dziadka Christiana. Gdy byłam małą dziewczynką, rodzice opowiadali mi o jego heroicznej walce z niedźwiedziem.

– Ugotowałem dla ciebie zupę – odzywa się. – Nic specjalnego, ale idealnie rozgrzewa.

– Dziękuję – dukam, przypatrując się niewielkiej miseczce, którą trzyma w swoich dłoniach. Z największą przyjemnością zjadłabym wszystko, ale lepiej się powstrzymać.

– Jak się czujesz?

Jak się czuję? Jak wrak.

– Nieźle – kłamię. – Kim pan jest? I... co ja tutaj robię? – Rozglądam się po małym pomieszczeniu, w którym jedynym źródłem światła jest blask lampy naftowej stojącej na wąskim parapecie.

– Znalazłem cię nieprzytomną w śniegu. Chyba zostałeś pobita. Jak twoja ręka? Możesz poruszać palcami?

Wtem jak grom z jasnego nieba spadają na mnie wyblakłe obrazy przedstawiające kosze z owocami i ladę chłodniczą pełną serów. Okradłam sklep i zostałam napadnięta przez syna sprzedawczyni. Wszystko sobie przypominam, a te wspomnienia są gorzkie i pełne wstydu. Ostrożnie unoszę dłonie i powoli zginam palce. Nadal boli, ale przynajmniej wiem, że wcześniej się myliłam. Chłopak nie połamał mi palców.

– Kim pan jest?

– Nikim ważnym.

– Każdy jest dla kogoś ważny – odpowiadam cicho. – Dziękuję za... pomoc.

– Zjedz zupę, musisz nabrać sił.

– Mam na imię Lucy.

– Ezekiel. – Uśmiecha się do mnie. – Miło mi cię poznać, Lucy.

Nie jestem pewna, czy mówi prawdę. Poznanie mnie nie może być przyjemnością. Sprowadzam kłopoty. Jestem jak rozbite lustro przynoszące nieszczęścia. Nigdy nie wierzyłam w klątwy, ale może babcia miała rację? Może moja matka jest pomiotem szatana, a ja posiadam część diabelskich genów? Dawniej uważałam, że to bzdury. Tata kochał mamę, nie pozwalał mi myśleć inaczej. Wybrał ją na przekór swojej rodzinie, lecz teraz taty nie ma.

– Muszę już iść – mamrocę niewyraźnie.

– Odpocznij jeszcze.

Z wielką chęcią bym odpoczęła. Napełniła żołądek pożywną zupą z łososia, marchwi i cebuli, ale nie mogę. Powinnam wracać do domu, do matki. Na pewno mnie wyczekuje.

– Moja mama będzie się niepokoić. – Powoli wstaje z łóżka. Ezekiel nie protestuje, chyba rozumie tę potrzebę.

– Uważaj na siebie, Lucy. Ulice są niebezpieczne.

– To pobicie było... – Tak trudno mi o tym mówić. – Należało mi się.

– Miałas szczęście, oni zwykle nie kończą na pobiciu.

Oni? Jacy oni?

– To był chłopak.

Ezekiel nie odpowiada, a cisza, która się pojawia, jest dziwnie przerażająca.

– Ludzie znikają, wieszają się lub toną w przeręblach. Wszyscy uważają to za niefortunne wypadki, działania z premedytacją lub szczeniackie wybryki zakończone śmiercią. Czy powinniśmy im wierzyć?

Oczy rozszerzają mi się ze zdumienia. Gęsia skórka pokrywa moje ciało. Strach zaciska się na moim gardle. Co to ma znaczyć? Dlaczego chce, żebym o tym myślała?

– Naprawdę muszę iść. – Jestem słaba, ale lęk nie pozwala mi zwlekać. W pośpiechu podchodzę do drzwi.

– Polowanie się rozpoczęło, Lucy. A wróg jest bliżej, niż ci się wydaje. Musisz mieć się na baczności.

Nie wiem, po co Ezekiel mi o tym powiedział. I nawet nie chcę się tego dowiadywać. Spanikowana opuszczam jego starą drewnianą chatę i wybiegam na zewnątrz. Szybko dociera do mnie, że znajduje się niemal na drugim końcu miasteczka. Zastanawiam się, jak staruszek zdołał mnie przetransportować. Może miał samochód? Albo skuter śnieżny?

Zaciskając zęby, ruszam do przodu. Nie mogę stawać w miejscu. Boli mnie całe ciało, mróz zabiera mi siły. Nie mam jednak wyjścia. Muszę dotrzeć do domu. Moje buty zapadają się w śniegu. W tej części Skagway chodniki nie są odśnieżane. Podeszwy trzeszczą coraz głośniej i głośniej. A może to mój żołądek? Jestem taka głodna! Walczę sama ze sobą. Próbuję znaleźć jakieś wyjście z tej okropnej sytuacji. Nie chcę stawać oko w oko z matką i przyznawać się do porażki. Bo tym właśnie jest powrót z pustymi kieszeniami do domu. Porażką.

Drżącą dłonią ocieram łzę z obolałego policzka. Idąc, mijam domy, w których pali się jasne światło. Są też sklepy i duże kontenery, a w nich znajdują się paczki, jak te z Amazonu, pokonujące ogromne odległości na statkach. Nigdy nie zamawiałam niczego, bo zwyczajnie nie mam na to pieniędzy, ale Keri pokusiła się kiedyś o słodycze z Europy. Na paczkę czekała pięć długich miesięcy, lecz smak belgijskiej czekolady pamiętam do dziś.

Patrzę na te wielkie metalowe skrzynie i zastanawiam się, na co ludzie tracą oszczędności. Być może w którymś z pudeł znajdzie się czekolada? Albo książki? Lubię czytać. Niestety jedyna księgarnia w Skagway upadła. Tutaj nikt nie zajmuje się literaturą. Wszyscy mówią o połowach albo o patroszeniu ryb. Mogło zabraknąć podręczników do nauki w szkołach, ale nigdy nie harpunów. Przechodzę obok bramy, za którą szczekają psy. Nie boję się ich, choć pokazują mi swoje kły. Brnę dalej. Docieram do skrzyżowania. Na ulicy widać kilka potężnych terenówek. Zazdroszczę kierowcom. Też chciałabym się grzać w ciepłym wnętrzu auta. Przechodzę na drugą stronę i oddycham z ulgą, widząc budynek bloku. Nie różni się niczym od reszty. Jest tak samo pokryty śniegiem. Otwieram drzwi wejściowe i wkraczam na klatkę schodową. Ostrożnie wspinam się na schody. Stawiam krok za krokiem, aż wreszcie wchodzę do mieszkania. Nie dziwię się, że drzwi są otwarte, matka nigdy ich nie zamyka. Nie spodziewanie docierają do mnie strzępki rozmowy i zapach pieczonego mięsa. Mój Boże. Czy to możliwe? Zdejmuję kurtkę i szybko wpadam do kuchni. Moje serce ściska się boleśnie na widok dwóch pustych talerzy i naczyń żaroodpornego, w którym w tłuszczu pływają resztki mięsa.

– Czy zostało coś dla mnie? – pytam, przerywając dialog matki i Tony’ego.

– Dla ciebie? Przecież byłeś w sklepie. Nie przyniosłeś do domu nawet kromki, wszystko sama zjadłaś.

– Nic nie jadłam.

– I jeszcze kłamiesz – rzuca matka z dezaprobatą.

– Nieładne zachowanie, młoda damo – odzywa się Tony, a jego stałowe spojrzenie wywierca dziurę w moim brzuchu.

– Nieładnie to jest przesiadywać tu godzinami i czuć się jak u siebie w domu – odpyskuję. Mężczyzna poprawia się na krześle. Spod swetra wystaje kołnierzyk koszuli. Nienawidzę tego człowieka.

– Zauważam problem – mówi spokojnym tonem. – Nie martw się, wszystko da się naprawić. – Teraz zwraca się już do mojej matki. – Wystarczy odrobina dyscypliny.

– Skarżyłaś się na mnie?! – wybucham. – Ty?!

– Tony ci pomoże.

– Walcie się! – krzyczę zdenerwowana i wybiegam z kuchni.

Zanim docieram do pokoju, słyszę za płacami jego spokojny głos:

– Kiedyś zrozumie, że wspólnota chce jej dobra.



ROZDZIAŁ

drugi

Lucille

Czuję okropne zawroty głowy. Nie mogę się skoncentrować na pisaniu wiersza. Wszystkie myśli ulatują z mojej głowy, zanim udaje mi się je złapać i uformować w ładnie brzmiące zdanie. Odkładam długopis i odsuwam od siebie zeszyt. Biorę wdech, a potem kolejny i następny. Wiem, dlaczego to się dzieje. Jestem głodna, a od wczoraj nie miałam nic w ustach.

Nadal rozsadza mnie wściekłość na matkę. Jak mogła zaprosić tutaj Tony'ego i jeszcze zjeść razem z nim obiad, kiedy ja wracałam pobita do domu? Nie podała mi nawet ciepłej herbaty, a na widok moich ran tylko wzruszyła ramionami. Ta znieczulica doprowadza mnie do obłędu. Jak, do cholery, można być obojętnym? Podnoszę się z łóżka. Przez kilka sekund opanowuję mdłości. Obolałą ręką dotykam ściany. Staję się coraz słabsza i muszę się podpierać, aby nie upaść. Powłóczę nogami w kierunku pokoju matki. Chcę wykorzystać jej nieobecność i znaleźć coś, dzięki czemu zrozumie, czym jest wspólnota. Nie ukrywam, że wczorajsze słowa Tony'ego wzbudziły we mnie niepokój. Jak wiele o mnie wie? Czy matka często z nim rozmawiała na mój temat? Czy wspominała o tacie? Żołądek mi się ścisza.

Wchodzę do środka. Pomieszczenie jest wychłodzone przez nieszczęsne okna. Zatrzymuję się przed kwadratowym stołem, na którym leżą puste opakowania po tabletkach. Białe, niewielkie buteleczki zamiast etykietek mają nadrukowany czarny symbol nieskończoności. Widziałam

go już wcześniej, lecz nigdy tak naprawdę nie interesowałam się przekazem. Biorę jeden pojemnik i obracam go w palcach. Następnie otwieram wieczko i wącham wnętrze. Nie czuję nic prócz plastiku. Krzywię się, bo właściwie nie mam pojęcia, jak pachną tabletki. Rany boskie, czy kompletnie mi odbiło?

Odkładałam buteleczkę. Wycieram spocone dłonie w spodnie. Wiem, że muszę coś zrobić, tylko co... Przechadzam się wzdłuż meblościanki. Wydeptuję dziurę w podłodze, zanim decyduję się na otwarcie jednej z szafek. Wpatruję się w niechlujnie złożone ciuchy. Niewielki stosik koszulek, swetrów i kilka par spodni. Nic szczególnego. Matka nie przywiązuje wagi do tego, jak wygląda, co oczywiście tłumaczy jej fryzurę. Nie znam drugiej kobiety, która dobrowolnie ścięłaby swoje długie blond loki niemalże do zera.

Po odejściu taty zaczęła się zmieniać. To nie była ekspresowa metamorfoza, raczej powolne przeobrażanie się z porządnej osoby w tę nadużywającą alkoholu i używek kobietę. Trwało to sześć lat, a pierwszą oznaką był tatuaż węża zrobiony na łydce. Wówczas nie sądziłam, że to coś złego. Nie przejmowałam się matką ani jej humorami. Nie miałam pojęcia, że to wołanie o pomoc. Że osoby pogrążone w depresji okazują ją na wiele różnych sposobów i nie zawsze jest to zawrodożenie w poduszkę. To wtedy już pewnie należało zareagować.

Wiele razy się nad tym zastanawiałam. Gdybym jej pomogła, może teraz byłaby zupełnie innym człowiekiem. Nie wdępnęłaby w tę cholerną wspólnotę i nie poznałaby Tony'ego. Ten mężczyzna sprawia, że moje ciało skuwa lód. Nie umiem tego wyjaśnić, ale czuję się niekomfortowo, ilekroć zaczynam o nim myśleć. Wygląda na czterdzieści parę lat, ma czarne włosy przyprószone siwizną i zawsze, gdy go widzę, nosi eleganckie ubrania. Nie wiem, czym się zajmuje ani od jak dawna uczęszcza na spotkania wspólnoty. Wiem jedynie, że pierze mojej matce mózg. Czemu to robi? Jaki ma w tym cel? Nie jesteśmy ani zamożne, ani piękne. Nie wzbogaci się.

Wzdycham głęboko. Zamykam szafkę i przeglądam szuflady. Nie szukam niczego konkretnego, ale po kilku minutach zauważam stary notes wepchnięty pomiędzy bieliznę. Marszczę brwi. Skoro go tam schowała, to znaczy, że nie chciała, bym go znalazła. Dreszcze przebiegają mi wzdłuż kręgosłupa. Wyciągam rękę i delikatnie kładę ją na zniszczonej okładce. Czy powinnam do niego zajrzeć? A jeśli zobaczę tam coś

nieodpowiedniego i będę żałowała? Mam podejrzenia, że matka jest uzależniona od pigułek, które dostaje od Tony'ego, a on sam rozprowadza je po Skagway. Nie mogę jednak nazwać tego wprost, bo nie mam dowodów. Teraz sprawa może wyglądać inaczej. W notatniku mogę znaleźć dowody. Oddech mi przyspiesza, a osłabiony organizm nie radzi sobie z kolejną porcją nerwów. Czuję mdłości. Zamykam oczy i liczę od zera do dziesięciu z nadzieją, że zdołam je opanować. Otwieram pierwszą stronę. Notatnik jest wyświechtany, jakby matka użytkowała go przez dłuższy czas. Wczytuję się w słowa napisane niebieskim długopisem na pożółkłej kartce.

Wierzymy nieskończenie. Kochamy nieskończenie. Traktujemy się jak rodzinę, której strzepy pielęgnujemy w sercach.

„Traktujemy się jak rodzinę”? „Wierzymy nieskończenie”? W co? Pulsujący ból głowy jest odpowiedzią na moje zdenerwowanie. Przewracam stronę, a zdumienie niemal zwała mnie z nóg.

Niebo, ziemia.

Woda, lód.

Ja i Wy.

Wy i ja.

Jesteśmy Harmonią.

Co to są za bzdury? „Jesteśmy Harmonią”? Coś ściska mnie za gardło, treść prawie pustego żołądka przesuwają się w kierunku przełyku. Zaciskam zęby, żeby powstrzymać mdłości, ale jest już za późno. Odkładam notes i szybko biegnę do łazienki. Unoszę klapę sedesu, zginam się wpół i wymiotuję żółcią. Jestem przerażona swoim stanem. Torsje wstrząsają moim ciałem, które, osłabione, poddaje się każdemu szarpnięciu. Z wysiłku ciemnieje mi przed oczami, chwytam się muszli, gdy kolana się uginają. Upadam na podłogę. Drżę, a po policzkach spływają mi łzy. Jestem tak bardzo głodna. Nie mogę znieść myśli, że matka i Tony przyrządzili sobie wczoraj obiad i nie zostawili mi choćby kęsa. Gniew kotłuje się we mnie na równi z poczuciem totalnej beznadziei. Niech ich szlag!

Wycieram usta, nadal trzęsąc się jak osika, i odsuwam się od muszli, a potem siadam przy ścianie. Wszystko niebezpiecznie wiruje, moje mięśnie sztywnieją. Kiedyś czytałam, że śmierć z głodu jest jedną z najstraszliwszych. Strach zagląda mi prosto w oczy. Boję się umierania. Fakt, moje znikanie pod powierzchnią wody w celach uspokajających

sprawia, że często balansuję na granicy utraty przytomności, a w konsekwencji może i śmierci, lecz sama myśl o umieraniu wzbudza we mnie potworny strach. Gdyby było inaczej, już dawno popełniłabym samobójstwo. Jestem tchórzem. Gównem, jak określił syn sprzedawczyni sklepu, który okradłam.

Nagle docierają do mnie przytłumione kroki. Wyrzucam sobie, że powinnam zamykać drzwi na klucz, ale w tej chwili nie ma to aż takiego znaczenia. Siedzę pod ścianą niezdolna nawet się podnieść. Jeśli to złodziej, to z całą pewnością opuści mieszkanie zrezygnowany bądź podminowany. Nie ma tutaj niczego, na czym mógłby się wzbogacić. Po cichu jednak liczę, że to matka. Nie wiem, gdzie poszła, ale może załatwiła jedzenie. Och, nie będę wybredna. Przyjmę cokolwiek, by już nie czuć tego potwornego ścisku w żołądku. Kroki stają się coraz wyraźniejsze, a kiedy w progu łazienki staje wysoki mężczyzna w swetrze, prawie rozdziawiam usta z zaskoczenia.

Tony.

Co on tutaj robi?

– Żał patrzeć na ciebie, dziecko. – W jego tonie słyszę jedynie pogardę.

– Wal się – mamrocze.

– Twoja matka wiele razy płakała mi w ramię. Mówiła, że nie radzi sobie z życiem.

– Czego chcesz?

– W naszej wspólnotcie jest miejsce dla takich jak ty.

– Wasza wspólnota to jakieś pochrzanione rytuały i pranie mózgu!

– Chronimy najsłabszych – odpowiada spokojnie, zupełnie nie zwracając uwagi na mój wybuch. – Twoja matka nie odrzuciła naszej pomocy i dzięki temu przynajmniej teraz nie głoduje.

– Przychodzisz tu jak do siebie!

– Jestem u siebie. – Uśmiecha się przebiegle. – To, co moje, jest wasze, to, co wasze, jest moje. Czy matka opowiadała ci o Harmonii?

Harmonia. Kiedy przypominam sobie o notesie, aż mnie skręca w trzewiach. Chcę zaprzeczyć i zażądać, by się wyniósł i nigdy nie wracał, lecz po chwili dociera do mnie, że mogę wykorzystać ten moment. Zyskać przewagę w pozornie przegranej sytuacji. Dowiedzieć się znacznie więcej niż kiedykolwiek.

- Nie. – W zasadzie jeszcze nie kłamię.
- Cóż, twierdzi, że nas nie zrozumiesz.
- A zrozumiem?
- Jeśli twój umysł pozostanie otwarty, owszem.
- Przełykam gorzką, gęstą ślinę.
- Mam wierzyć we wróżki? Magiczne kule?
- Bądź poważna.

Tony wzdycha, odsuwa się od progu i niespodziewanie siada na krawędzi wanny. Jego stalowe oczy chłoną każdy zakamarek mojej duszy. Czuję się tym... skrępowana.

- Jesteśmy wspólnotą.
- Tworzycie kościół?
- Nie, po prostu dbamy o siebie. – Tony splata dłonie na kolanie. – Harmonia, czyli dopełnianie się. Zachowujemy właściwe proporcje. To stan, do którego dąży cała ludzkość. Twoja matka jest świadoma swojej wewnętrznej siły, dlatego nas odnalazła.

- Ona was odnalazła?
- Sprawiała, że nasze drogi się ze sobą zetknęły.
- Jak? – Podkurczam kolana pod brodę.
- Ta informacja nie jest dla ciebie istotna. Najważniejsze, że zdołaliśmy jej pomóc. Tobie też możemy. Wspólnota chce twojego dobra.

- Nie znacie mnie.
- Wspólnota zna każdego, dziecko. – Jego uśmiech powoduje, że żółć podchodzi mi do gardła. – Wiemy, z czym się zmagasz. Jak ciężkie są twoje poranki i jak bardzo cierpisz podczas mroźnych nocy. Harmonia pozwoliłaby ci wrócić do nauki. Chciałaś studiować, prawda? Wspólnota ci pomoże.

Prawie krztuszę się własną śliną. Rany boskie, skąd Tony wie o studiach? Marzyłam o podjęciu dalszej edukacji, ale w obecnej sytuacji finansowej to niemożliwe. Przez ułamek sekundy w moim sercu rozbłyska nadzieja. A jeśli jest ze mną szczerzy? Jeśli rzeczywiście pragnie mi pomóc?

Nie ufaj mu!

Zaciskam dłonie, które są już mokre od potu.

- Jesteś założycielem? – pytam cicho, gromadząc jak najwięcej informacji w obolałej głowie.

- Nie.

– Kim zatem jest założyciel? On też pomaga?

– Wszyscy sobie pomagają. Powinnaś wpaść na jedno z naszych spotkań. Spodoba ci się.

Wykrzywiam usta w grymasie, którego nie umiem pohamować. Prerażające jest to, że Tony tak wiele wie na mój temat. Zupełnie jakby zbierał te informacje przez dłuższy czas. Gęsia skórka pokrywa moje ciało, gdy wyobrażam sobie, jak ten facet śledzi każdy mój ruch. Nie, to przecież niemożliwe. Po co miałby to robić? Popadam w szaleństwo. Tony wstaje z miejsca, pochyla się nade mną i wyjmuję coś z kieszeni spodni.

– Zadzwoń, gdy będziesz gotowa – mówi, podając mi wizytówkę.

Przyjmuję ją, choć wcale nie mam zamiaru z niej korzystać. Przyglądam się kartonikowi, na którym widnieje jedynie numer telefonu. *Dziwne*, myślę. Zwykle wizytówki zawierają więcej informacji. Otwieram usta, by coś powiedzieć, lecz niespodziewanie milkę, gdy rozbrzmiewa huk zatraskiwanych drzwi.

– Pieprzeni przedsiębiorcy! – Pełen wściekłości głos matki niesie się przez korytarz i wpada do łazienki. Próbuję uspokoić łomoczące serce. Tony posyła mi krzywy uśmiech i rusza w jej stronę.

– Brendo? – Słyszę, jak łagodnym tonem zwraca się do matki.

– Tony? Co ty tutaj robisz?

– Myślę, że w tym momencie powinniśmy zająć się tobą i twoją bardzo złą energią. Chodź, opowiedz mi wszystko. Gdzie byłeś, złotko?

Z zażenowania wykręca mi żołądek. Co, u licha jasnego, się tutaj dzieje? Wciąż siedzę na podłodze, nie mam siły się podnieść, ale jedno słowo wypowiedziane przez Tony’ego szybko sprawia, że zmieniam zdanie. Ten dupek próbuje wcisnąć jej tabletki! Zmuszając zeszywniałe mięśnie do pracy, ruszam chwiejnym krokiem przez korytarz.

– Nie rób tego! – unoszę głos, wpadając do pokoju, gdzie matka siedzi na starej kanapie, trzymając w dłoni kolejną białą buteleczkę. – Mamo, nie rób tego. – Dodaję spokojniej.

– Pozwól mi się nią zająć – mruczy Tony, mierząc mnie groźnym spojrzeniem. – Ona potrzebuje odpoczynku, jest spięta. Leki mają działanie wyciszające.

Leki? Nie, nie dam się nabrać. Nie wiem dokładnie, co to jest, ale na pewno nie leki. Chwiejnym krokiem podchodzę do matki, a następnie bez cienia żalu wytrącam z jej rąk buteleczkę. Głuchy trzask plastiku

uderzającego w podrapane panele roznosi się w całym mieszkaniu, ale to i tak nic w porównaniu z wyciem, które wydostaje się spomiędzy zaciśniętych warg matki. Gdy unoszę na nią wzrok, dostrzegam na jej twarzy prawdziwą furję. Wstaje z kanapy, a jej kościste dłonie owijają się wokół mojej szyi. Otwieram szeroko oczy z przerażenia. To pierwszy raz, kiedy posuwa się tak daleko.

– Co to ma być? – syczy wściekle.

– Zostaw mnie! – charczę.

Szamotam się, próbuję uwolnić oddech, czując jednocześnie, jak coś gorącego gromadzi mi się pod powiekami. Biorę drżący, delikatny wdech i zagryzając policzki od wewnątrz, w myślach powtarzam, że nie pozwolę, by widzieli mój strach. Nagle do matki podchodzi Tony i z łagodnością w głosie prosi ją, by mnie puściła. Mam ochotę parsknąć śmiechem. Naprawdę sądzi, że to coś pomoże? Nie ma pojęcia, jaka jest, kiedy zabraniam jej brać te cholerne pigułki.

– Daj jej zrozumieć – ciągnie mężczyzna.

– Nie powinienes tu przychodzić – cedzi rozdrażniona. – Dlaczego nie możemy wrócić do starego schematu? Spotkania były w porządku.

– Bo jesteś na innym etapie, Brendo. Potrzebujesz mojej codziennej obecności. Spójrz na mnie i spróbuj zaprzeczyć.

Ucisk na mojej szyi słabnie, a kiedy staje się zupełnie luźny, odsuwam się od matki.

– Kim jesteś? – pytam Tony’ego. – Tylko bez żadnych wykrętów, dobra?

– Ona nie zrozumie! – warczy matka.

– Dajmy jej szansę. Moim zdaniem wykazuje się ponadprzeciętną dojrzałością.

Kręci mi się w głowie. Ból żołądka skutecznie zagłusza resztę słów mężczyzny. Tak bardzo chce mi się jeść, że nieświadomie unoszę rękę i zaczynam obgryzać paznokcie.

– Masz ochotę na pizzę? – Tony się uśmiecha. W tajemniczych oczach zauważam błysk, który uruchamia wszystkie czerwone alerty w mojej głowie. Wzdycham głęboko; oczywiście, że mam ochotę na pizzę. Zjadłabym nawet swoją starą skarpetkę, byleby tylko uwolnić się od tego okropnego bólu żołądka. Jednak czujność sugeruje, bym za bardzo mu nie ufała. Muszę utrzymywać dystans.

– Czemu to robisz? – Matka tego nie rozumie, podobnie jak ja.

– Powiedziałem ci.

– To bzdura! Ona nie będzie chciała.

– Pozwól jej zdecydować, Brendo.

Mężczyzna przesuwając się w moją stronę. Koncentruję się na jego pociągłej twarzy i głębokich bruzdach wokół oczu. Nie wygląda groźnie. Wręcz przeciwnie, sprawia wrażenie dobrego wujka. Kogoś, kto naprawdę pragnie pomóc drugiej osobie. Tylko... dlaczego nam? Przecież jest mnóstwo innych biedujących osób. Skagway nie jest w żaden sposób elitarne. Wszędzie są bezdomni. Czemu to właśnie nas chce uratować? Jaki ma w tym interes?

– Czego chcesz, co? – Żądam odpowiedzi. – Co to są za pigułki? Czym faszerujesz moją matkę?

– Tony mi pomaga!

– Pomaga?! Zachowujesz się jak wariatka! W czym miałby ci, do cholery, pomóc?! – Puszczają mi nerwy.

Matka zaciska zęby, a rysy jej twarzy się wyostriają. Wiem, co zaraz nastąpi. Dopada mnie, chwytając za ramię i potrząsa tak mocno, że niemal tracę równowagę. Gniew wyzieraający z jej oczu przenika mnie całą, ale nie tylko ona jest wściekła. Furia, którą czuję, wreszcie znajduje ujście. Wyszarpuję się z jej uścisku, lecz kiedy obok pojawia się Tony, szybko dociera do mnie, że nie uwolniłam się sama.

– Może zaczniemy od początku? – proponuje dziwnie spokojnym, prawie uległym tonem.

– A może wyniesiesz się z mojego domu? – warczę, masując obolały bark.

– Twoja mama jest bardzo chora.

– To już zauważyłam. – Parskam, ale powaga na jego twarzy zmusza mnie do wybąkania krótkich przeprosin. – Chora? Na co? – Patrzę to na nią, to na niego.

– Tego staramy się dowiedzieć. Tabletki są jej potrzebne, by mogła funkcjonować. Nie jesteśmy przestępcami, nasza wspólnota przynosi jedynie pomoc i ulgę w bólu. – Dłoń mężczyzny opada na moje ramię. – Jest w tobie ogień, dziewczyno. To dobrze. Gdy już ujrzysz prawdę, rozświełisz mrok niewiedzy. A do tego czasu... – Odwraca mnie w kierunku matki, która zastygła niczym wosk, i kończy: – Brendo, pozwól jej

zażyć tego samego szczęścia. Mrugam niespokojnie, gdy koścista, chuda dłoń matki wyciąga się w moją stronę. Wstrzymuję oddech, widząc, jak powoli rozwiera palce.

– Nakarm swoją niepewność – mówi, kiedy moje oczy opadają na okrągłą, fioletową tabletkę z wytłoczonym symbolem nieskończoności.



ROZDZIAŁ trzeci

Thoren

Zimne podmuchy północnego wiatru smagają mnie po twarzy. Mrużę oczy przed atakującymi mnie płatkami śniegu. Napełniam płuca rześkim, zimowym powietrzem i stojąc przed niskim budynkiem z czerwonej cegły, obserwuję otoczenie.

Wszedł do środka jakieś pół godziny temu. W czarnym, długim płaszczu i wełnianej czapce wyglądał zwyczajnie. Gdybym był choć trochę mniej skupiony, to na pewno mógłby mi uciec. Złać się z otoczeniem.

Nie byłem.

Zanim tutaj przyjechałem, opracowałem szczegółowy plan. Rozpisałem w głowie każdy możliwy scenariusz, a w kieszeni mojej kurtki czeka naładowany sig sauer. Nic nie dzieje się przypadkiem. Każdy mój krok, każdy jego oddech. Wszystko świadczy o idealnym dopracowaniu. Nie ma miejsca na błędy. Już nie. Wściekam się, kiedy wspominam zeszły tydzień. Miałem go tak blisko, ale jeden nieodpowiedni ruch sprawił, że wypuściłem go z rąk. Od tamtego czasu nieźle się ukrywał, nawet nawiązał współpracę z policją. Kretyn narobił tylu komplikacji, że dopiero teraz mogę uderzyć.

Odklejam się od muru i zaciskam w pięść sztywną od mrozu dłoń. Zerkam na zegarek, a potem idę w kierunku drzwi wejściowych. To nie powinno potrwać długo. Ustawiam się tak, że gdy je otworzy, staną się moją osłoną. Wyczekuję. Moją uwagę na moment pochłaniają krzyki dochodzące z pobliskiego sklepu spożywczego. Wzrokiem rejestruję

wybiegającą stamtąd dziewczynę z plecakiem, z którego wypada jakaś bułka. Zaraz za nią leci jakiś chłopak, wymachując rękoma jak prawdziwy obłąkaniec. Cała scena wygląda na klasyczną kradzież, a ja mógłbym pomóc. Spoglądam w kierunku dziewczyny, jest chuda jak szkap, więc powalenie jej nie byłoby problemem. Odzyskałbym fanty, a to małe pochrzanione miasto nazwałoby mnie bohaterem. Jedyńszkopuł w tym, że jestem egoistycznym draniem i w dupie mam radość bliźniego. Nie interesują mnie mieszkańcy. Nie mam cierpliwości wobec ich kłopotów. Odwracam głowę. Na mojej twarzy pojawia się dobrze znana obojętność. Czekam. Powoli zakładam czarne lateksowe rękawiczki. Wiatr przedziera się przez ubrania, lodowate podmuchy stają się coraz bardziej irytujące.

No, wylaż wreszcie.

Nadal czekam. Nauczone cierpliwości ciało nie protestuje wobec wielu minut bezczynności. Wykorzystując każdą sekundę, wyobrażam sobie, jak niczego nieświadomy facet załatwia swoje sprawy, jak rozciąga usta w uśmiechu, nie wiedząc, że to tak naprawdę jego ostatni. Pławię się w tym uczuciu. Siła wynikająca z kontroli jest cholernie uzależniająca. W pewnym momencie dociera do mnie skrzywienie. Schody w budynku są stare, a ostatnie stopnie wydają z siebie szczególnie wkurwiający dźwięk. Zastygam, moje serce spowalnia. Jestem prawie pewny, że przestaję mrugać. Typ wychodzi na zewnątrz. Jest mu zimno, bo zaczyna dygotać i w pośpiechu naciąga czapkę na uszy. Mięczak. Wyłaniam się zza drzwi. Z kieszeni wydaję broń.

– Cześć, pamiętasz mnie? – zadaję mu krótkie pytanie, na które nie chcę odpowiedzieć.

Zanim się orientuje, wykonuję potężny zamach i kolbą pistoletu uderzam go w kark. Długie nogi załamują się pod wpływem ciosu. Facet szybko traci przytomność. Zaciągam bezwładne ciało do samochodu. Nie zatrzymałem się daleko, zaledwie po drugiej stronie. Udam, że koleś stracił kontakt po kilku piwach, a kiedy docieram do auta, wypycham go na fotel pasażera. Krępuję mu dłonie plastikowymi opaskami, zakładam czarny worek na łeb i nie mogąc się powstrzymać, spluwam na niego z pogardą.

Nie mam litości.

Ani jebanego funta.

Wsiadam za kierownicę, przekręcam kluczyk w stacyjce i ruszam w stronę głównej ulicy. Uderzenie z kolby jest bolesne i może powodować wiele obrażeń, ale nie jest na tyle mocne, by zabić. Wiem, że koleś się ocknie. I prawdę mówiąc, wyczekuję tej chwili. Pragnę cieszyć oczy jego nierówną walką. Karmić się jego strachem. Kiedy jadę przepisowo, nikt nie zwraca na mnie uwagi. Śnieg okleja szyby tak szczelnie, że nawet wycieraczki pracujące na pełnych obrotach mają trudności. Odbijam w lewo i zmieniając bieg na wyższy, obieram kierunek na Icy Holes. Nikt o zdrowych zmysłach nie zapuszcza się w okolice przerębli z powodu paraliżującego lęku. Telewizja nadawała o ciałach znajdujących w lodowatych wodach jeziora Dewey. Każdego dnia mówiono o tajemniczym mordercy. Cóż, nigdy nie łaknąłem sławy. Moim celem nie jest panika, a skuteczność. Gdy wysiadam z samochodu, w powietrzu unosi się zapach krwi. Złakniony niczym wygłodniałe zwierzę otwieram drzwi od strony pasażera i wyrzucam faceta na twardą, zmarzniętą ziemię. Zatrzymałem się parę metrów od brzegu, ale to nie powstrzyma mnie przed wejściem na złodowaciałą powierzchnię ciemnej wody. Mężczyzna w płaszczu zaczyna coś bełkotać. Odzyskał przytomność. Na samą myśl, jak bardzo musi się bać, rozsadza mnie ponury śmiech. Bez słowa podchodzę bliżej, zrywam z jego głowy worek i wyjmuję broń.

– Nie strzelaj! – Przerazenie ściska mu krtań. Nie podobają mi się jego gwałtowne ruchy, więc daję mu nauczkę. Szybki cios w brzuch trochę go uspokaja. – Ja nic nie wiem!

Wykonuję krok w przód, szarpię go za kołnierz okrycia. Gdy materiał się rozrywa, dostrzegam niewielką bliznę na szyi w kształcie symbolu nieskończoności.

– Gdzie jest Tony?! – krzyczę, potrząsając typem. – No, mów!

– Nie wiem!

Kłamie. W jego oczach czai się zatajona prawda, jakby ze mnie kpił. Wściekłość wzrasta, unoszę naładowaną broń i przyciskam ją do skroni faceta.

– Co oznacza symbol na twojej szyi? – zadaję kolejne pytanie, ale on wciąż nie chce współpracować.

– To blizna – duka po dłuższej chwili.

– Ktoś ci ją wypalił. Tony? – Podsuwam mu lufę pod brodę. – On ci to zrobił?

– Nie. Nikt mi nic nie zrobił. Proszę, pozwól mi odejść. – Drżący głos zdradza głęboki strach. Wysoki, postawny facet teraz trzęsie się jak liść na wietrze. To dość zabawne. Łapię gnoja za poły płaszcza i prowadzę w kierunku grubej pokrywy lodu na spokojnym jeziorze. Nierówne kroki wzmagają poślizg, ale jestem nieugięty. Prawie wlokę go za sobą, kiedy szarpie się, aż uginają mu się kolana i przyjmuje półleżącą pozycję. Pot spływa mi po czole, zaciskam zęby. W moim sercu rodzi się bestia, która musi zostać zaspokojona. Chwytam go za siwe włosy, zmuszam, by wyciągnął szyję. Do pierwszej przerębli mamy zaledwie kilka kroków. Zmrożony śnieg skrzypi pod podszwami naszych butów, w oddali słychać odgłosy zaniepokojonych tłustych fok.

– Proszę – skomli, spoglądając na mnie błękitnymi oczami pełnymi łez.

Przykładam zimną lufę do boku jego szyi. Wbijam metal prosto w tętniącą żyłę. Zwykle kończyłem sprawę, oddając dwa strzały w potylicę. Lubiłem ten sposób egzekucji, jednak dziś chcę zrobić wyjątek.

Gość wyjątkowo mnie drażni.

Podciągam go jeszcze trochę. Wyrwam mu włosy wraz z cebulkami, na co głośno protestuje krzykiem. Jego szyja robi się czerwona przez gotującą się krew. Przyglądam się dwom pulsującym, grubym żyłom, a potem przeładowuję broń i strzelam. Pocisk rozrywa skórę, przebija tkanki miękkie i dociera aż do tętnicy. Jaskrawoczerwona posoka wystrzeliwuje w powietrze, brudzi moją twarz, wsiąka w śnieg i spływa po lodzie wprost do otworu, pod którym faluje woda. Facet traci ogromne ilości krwi. Spomiędzy jego bladych warg wylatują dziwne świsty. Płuca nie są w stanie pracować. Zaczyna kaszleć i dławić się gorącą, lepką krwią. Patrę na niego bez najmniejszego wzruszenia. Jego twarz tężeje, a łyzy zmieszane z krwią zastygają na огоłonym policzku.

– No i po co kłamałeś? – rzucam z dezaprobatą, a zamglone bólem i nieuchronną śmiercią oczy mężczyzny spoglądają na mnie z niezrozumieniem. – Gdybyś mówił prawdę, dostałbyś strzał w łeb i już dawno byłoby po wszystkim. A teraz będziesz się wykrwawiał jak jebany wieprz.

Ciało opada bezwładnie na lód. Jeszcze żyje, ale agonია jest już blisko. Mógłbym zakończyć jego męki, okazać choć odrobinę dobroci, lecz zamiast tego wbijam w niego swoje spojrzenie i czekam. Cierpliwie czekam, aż wyzionie ducha. Nie czuję niczego. Pustka, którą

mam za przyjaciela już od wielu lat, ściska w swoich długich, ostrych szponach moje małe czarne serce. Ktoś mógłby zasugerować, że jestem niebezpiecznym szaleńcem, i miałby absolutną rację. Łypię okiem na dyszącego mężczyznę i czubkiem buta trącam jego głowę. Skubany wciąż się trzyma. Bez namysłu podnoszę go, a kiedy próbuje coś powiedzieć, napinam mięśnie ramion i wrzucam na wpół martwego człowieka do przerębla. Plusk lodowatej wody płoszy wylęgające się foki. Odbija od wątych gałęzi drzew, które porastają brzeg, i wibrując, wraca po tafli lodu. Fale zachłannie zalewają mężczyznę, który ledwie macha rękoma. Toń pochłania go kawałek po kawałku, a ja oczarowany patrzę na ten dziki spektakl.

Walka pomiędzy życiem a śmiercią. Drżąc dłoń mężczyzny wynurza się na powierzchnię, formuje pięść, a następnie rozprostowuje palce. To koniec. Widzę, jak kat zabiera swoje żniwo, poddając kończynę zesztynieniu. Ręka wpada do wody. Znikają pęcherzyki powietrza. Zamykam oczy, a potem otwieram je i przywołuję na usta uśmiech. Nie wiem, czy świat mi podziękuje za tę humanitarną akcję, ale ja jestem zadowolony. W końcu to jeden świr mniej.

Przez kilka sekund podziwiam plamy jaskrawoczerwonej krwi, a następnie odwracam się na pięcie i schodzę z lodu. Trup to dopiero początek zabawy. Teraz trzeba pozbyć się śladów. Niespecjalnie obawiam się lokalnej policji. Szczerze mówiąc, mógłbym posłać do diabła całą tę marną jednostkę, ale to oznaczałoby również nagłe zainteresowanie, które z pewnością pokrzyżowałoby mi plan.

Zemsta lubi ciszę.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

UCIEKAJ, LUCILLE! UCIEKAJ I NIE OGLĄDAJ SIĘ ZA SIEBIE

Dziewiętnastoletnia Lucille McCarthy mieszka w niewielkim miasteczku na Alasce. Odkąd umarł jej ojciec, życie dziewczyny stało się koszmarem. Żaloba zupełnie złamała jej matkę. Pani McCarthy najpierw zapijała strą, potem wpadła w sidła grupy nazywającej siebie „wspólnotą”. Odtąd w domu Lucille brakuje pieniędzy, dziewczyna chodzi głodna, a jedynym sposobem na zdobycie chleba jest kradzież.

Sytuacja, już fatalna, pogarsza się jeszcze bardziej, kiedy Lucille się orientuje, że wspólnota rozprowadza podejrzaną lek. Wkrótce dziewiętnastolatka stanie oko w oko z wielkim niebezpieczeństwem, a jedyną szansą na ratunek będzie ucieczka. Niespodziewanie los postawi na jej drodze Thorena Daviesa – trzydziestoczworolatka żyjącego misją wymierzenia sprawiedliwości za straszliwą krzywdę, której doznał w przeszłości.

Czy tych dwoje zdoła sobie nawzajem pomóc?

Motywy w książce:

**Slow burn / Zakazany związek / Touch her and you die
Age gap / Przemoc / Alaska**

Patroni medialni:



☺ CUTE
☺☺ SENSUAL
☺☺☺ SPICY
☺☺☺☺ DARK

**editio
rep**
EDITIO.PL

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-1674-6



9 788328 916746

cenę: 19,90 zł